

Wieczorami w mieszkaniu mimo zamkniętych okien był jeden wielki łomot. Nie udało mi się w takich warunkach uśpić dziecka. Sam też nie mógłbym zasnąć - mówi prawnik, który prowadził sprawę prof. Ewy Kuryłowicz o hałas przeciwko miastu

Wojciech Tymowski: Mnóstwo ludzi skarży się na hałas z klubów, ale tylko prof. Ewa Kuryłowicz zdecydowała się pójść do sądu.

Michał Kijewski, radca prawny, wspólnik w Kancelarii Prawnej Kijewski, Graś Sp.k: Pani profesor długo zastanawiała się, co robić. Jej wspólnota prosiła o interwencję miejski Zarząd Mienia, gospodarza terenu, na którym działał hałaśliwy klub Cud nad Wisłą. Profesor chodziła do menedżera klubu. Rozmawiała z burmistrzem dzielnicy, ze strażą miejską.

A dlaczego pan zajął się sprawą?

- Moja kancelaria współpracuje z pracownią Kuryłowicz & Associates. Kiedyś profesor zapytała, co można zrobić w sprawie tego hałasu. Zaczęliśmy rozmawiać.

Kiedy się zdecydowała na pozew?

- Po pięciu miesiącach znoszenia sąsiedztwa klubu. To była dla niej bardzo trudna decyzja. Ludzie z natury nie lubią się kłócić, walczyć w sądach. A tu występowaliśmy formalnie przeciwko miastu, bo klub był na miejskim terenie. A pani profesor jest z tym miastem naprawdę związana. Mówi: "Moja Warszawa, moje ukochane miasto".

Była sama?

- Zdecydowała się dać sprawie swoją twarz, ale tak naprawdę reprezentowała wspólnotę. Mieszkańcy mieli być świadkami na procesie.

Co najbardziej przeszkadzało pana mocodawczyni?

- Głównie potworny hałas, oglądanie wokół nieporządków i śmieci po imprezowiczach z klubu. Chcę podkreślić, że prof. Kuryłowicz nie jest osobą, której wszystko przeszkadza. Ten klub naprawdę dał mieszkańcom w kość.

Sprawdzał pan to osobiście?

- Przez kilka wieczorów, od godziny 20 do 24, byłem w klubie, w pobliżu klubu, w mieszkaniu prof. Kuryłowicz. Wszędzie było głośno. To nie wymysł. Wynajęliśmy sądowego biegłego, który przy pomocy certyfikowanych urządzeń zmierzył poziom hałasu w mieszkaniu pani profesor. Dochodził do 70 decybeli przy zamkniętych oknach. To było przed 22, przepisy dopuszczają o tej porze w mieszkaniu tylko 40 decybeli. W porze nocnej, czyli po 22, już tylko 30. A wiele koncertów w Cudzie o 22 dopiero się zaczynało. Zresztą jeśli chodzi o hałas w mieszkaniu, to nie było zasadniczej różnicy, czy akurat trwa koncert, czy muzyka była odtwarzana. Koncerty były chyba dwa razy w tygodniu, muzykę puszczano co wieczór.

Panu też wydawał się ten hałas nieznośny?

- Dawał się we znaki. Wieczorami w mieszkaniu mimo zamkniętych okien był jeden wielki łomot. Nie udało mi się w takich warunkach uśpić dziecka. Sam też nie mógłbym zasnąć.

Teraz prof. Kuryłowicz ma ciszę i spokój. Z powodu przebudowy bulwarów Cud musiał się przenieść w inne miejsce. Ale do nas wciąż piszą listy mieszkańcy, którzy się skarżą na kluby i zbyt głośną muzykę, podkręcanie basów, wrzaski. I na to, że są bezsilni, bo choć piszą do ratusza, dzwonią po straż i policję, nadal z powodu nocnego huku nie mogą spać.

- Rzeczywiście tak bywa, że jak ludzie piszą do urzędu miasta, to urzędnicy radzą, by iść na policję. Policja pyta, jaki jest powód interwencji. Obywatel mówi: "Uszy mnie boją od tego huku". Skutek: umorzenie sprawy. Bo policja nie ma urządzeń do mierzenia poziomu hałasu, poza tym kiedy przyjeżdża na miejsce, to na ogół robi się ciszej.

A jak ktoś kupi sobie urządzenie i zmierzy hałas na własną rękę?

- Jeśli ktoś sam sobie robi pomiary hałasu, to z punktu widzenia prawa nie ma to żadnego znaczenia. Jako materiał dowodowy może być traktowany tylko pomiar zrobiony przez osobę z uprawnieniami i przy pomocy certyfikowanego sprzętu. Są tacy specjaliści, np. na liście biegłych sądowych, ale ich usługa kosztuje.

A jeśli klub kupuje decybelomierz?

- To może być znak dobrej woli albo narzędzie do samokontroli. Ale w przypadku sprawy w sądzie takie pomiary też nie byłyby brane pod uwagę.

To co powinien klub zrobić, żeby uniknąć konfliktu z sąsiadami?

- Np. informować o swoich działaniach. Cud nie uprzedzał mieszkańców, kiedy i do której ma koncert. Za to Centrum Nauki "Kopernik" postępuje zupełnie inaczej. Wysłała do okolicznych mieszkańców listy: serdecznie zapraszamy na taką i taką imprezę otwartą wtedy i wtedy w określonych godzinach. Robi to dwa tygodnie wcześniej. I już wiadomo, czy zostać w domu, iść na tę imprezę, czy może wyjechać.

Ale Kopernik urządza imprezy rzadko, raczej nie robi też całonocnych. Myślę, że informacja o hucznej imprezie w

klubie do białego rana nie wystarczy, by zadowolić sąsiadów, którzy chcą wyciszenia muzyki. Z ich punktu widzenia głośne imprezy powinny się odbywać w wytlumionych akustycznie pomieszczeniach, tak by dźwięki nie wydostawały się na zewnątrz. Kluby mówią zaś, że to bardzo kosztowna inwestycja, a większość branży cienko przędzie, poza tym są tu jakieś kłopoty z biurokracją, często z konserwatorem zabytków.

- Sorry, ale wszystko, co chcemy robić publicznie, musi być zgodne z przepisami i normami społecznymi. Klub nie może zakłócać wypoczynku sąsiadom, atakując ich podkreconymi basami. Jeśli ktoś mówi, że nie może temu sprostać, to mam odpowiedź: trzeba zmienić zawód.

Ale nawet jeśli część klubów zamknie się w dźwiękoszczelnych piwnicach, to zostaną te plenerowe, szczególnie teraz popularne i lubiane.

- W takich miejscach też są sposoby na wyciszenie, na zmniejszenie oddziaływania hałasu na okolicę, są od tego fachowcy, ustawia się specjalne ekrany. To oczywiście kosztuje, ale czy bez takich inwestycji można działać? Jeśli ktoś liczy na szybki zarobek bez względu na złą opinię, to pewnie tak. Ale gdy planuje działalność na lata, chce być postrzegany jako miejsce przyjazne, ma ambitny program kulturalny, to będzie musiał zainwestować więcej niż dziś i porozumieć się z mieszkańcami z okolicy. Poważne kluby, jeśli nie będą żyć w symbiozie z otoczeniem, przegrają. Relacje między klubami a mieszkańcami będą się zmieniać, bo wszystko w Polsce szybko się zmienia. Masowa moda na chodzenie do klubów ujawniła się dopiero w ostatnich latach. Na razie mamy etap garażowy tej formy rozrywki.

Kluby już rozumieją, że muszą ułożyć sobie relacje z mieszkańcami, bo razem z ratuszem przygotowują tzw. kodeks dobrych praktyk. Ma być przedstawiony mieszkańcom do konsultacji.

- To krok w dobrą stronę, ale ten kodeks nie będzie obowiązującym prawem dla wszystkich, tylko pewną umową dla tych klubów, które do niej przystąpią. Oprócz tego będą też tacy, którzy zamiast dobrych praktyk będą woleć szybki jednorazowy zysk. Ale to będzie chyba margines i przed takimi klubami można się bronić, podpisując z nimi odpowiednie umowy umożliwiające szybkie wypowiedzenie w wypadku nieprzestrzegania wyznaczonych w umowie standardów.

Teraz nie ma takich umów?

- Z tego, co się zorientowałem, prowadząc sprawę pani prof. Kuryłowicz, miasto wynajmuje swoje tereny, ale za słabo zabezpiecza swoje interesy. Jako pewien wzór mogłaby miastu służyć umowa o lokale w biurach. Jeśli najemca nie wypełnia jej wymogów, dostaje wypowiedzenie w trybie 14 dni.

W umowie warto postawić twarde wymogi w trosce o swój wizerunek i bezpieczeństwo biznesowe. Bo jeśli będzie ostry konflikt, to kogo ludzie będą pozywali? Właściciela miejsca - miasto, instytucję, przedsiębiorcę. Do umowy można wpisać wszelkie wymogi, które nie są sprzeczne z prawem, np. wymóg akustycznego zabezpieczenia lokalu tak, by muzyka nie budziła mieszkańców kamienicy, w której jest klub.

Takie propozycje mogłyby jakoś pomóc, ale nie wyeliminują konfliktów. W Warszawie mieszka wielu ludzi, którzy choć nie zawsze się do tego przyznają, oczekują kompletnej ciszy. Marzą o banku w parterze, a zajadle walczą przeciwko kawiarni, bo im przeszkadzają nawet kawiarniane rozmowy.

- Sprawa prof. Kuryłowicz to na pewno nie jest ten przypadek. Sąd odrzucił nasz pozew dlatego, że w chwili rozprawy klubu nie było już w tamtym miejscu, ale potwierdził w uzasadnieniu, że prowadzona działalność klubu Cud nad Wisłą stanowiła źródło hałasu.

Lubi pan klubowe życie?

- Lubię. Umawiam się w takich miejscach ze znajomymi przy winie, spotykamy się tam też z dziećmi. Ale nie chciałbym mieć w sąsiedztwie takiego klubu jak Cud nad Wisłą w zeszłym roku.